



BLACK
BIRD
ACADEMY

Tytuł oryginału: *Black Bird Academy. Töte die Dunkelheit*

Copyright © 2023 by Stella Tack

Projekt okładki i layoutu: © Isabelle Hirtz, Inkcraft; © NadezhdaShu/Shutterstock.com,

© seno raharjo/Shutterstock.com

Projekt mapy i godła: © Thilo Corzilius

Redakcja: Marta Stochmialek

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki i projekt stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-353-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

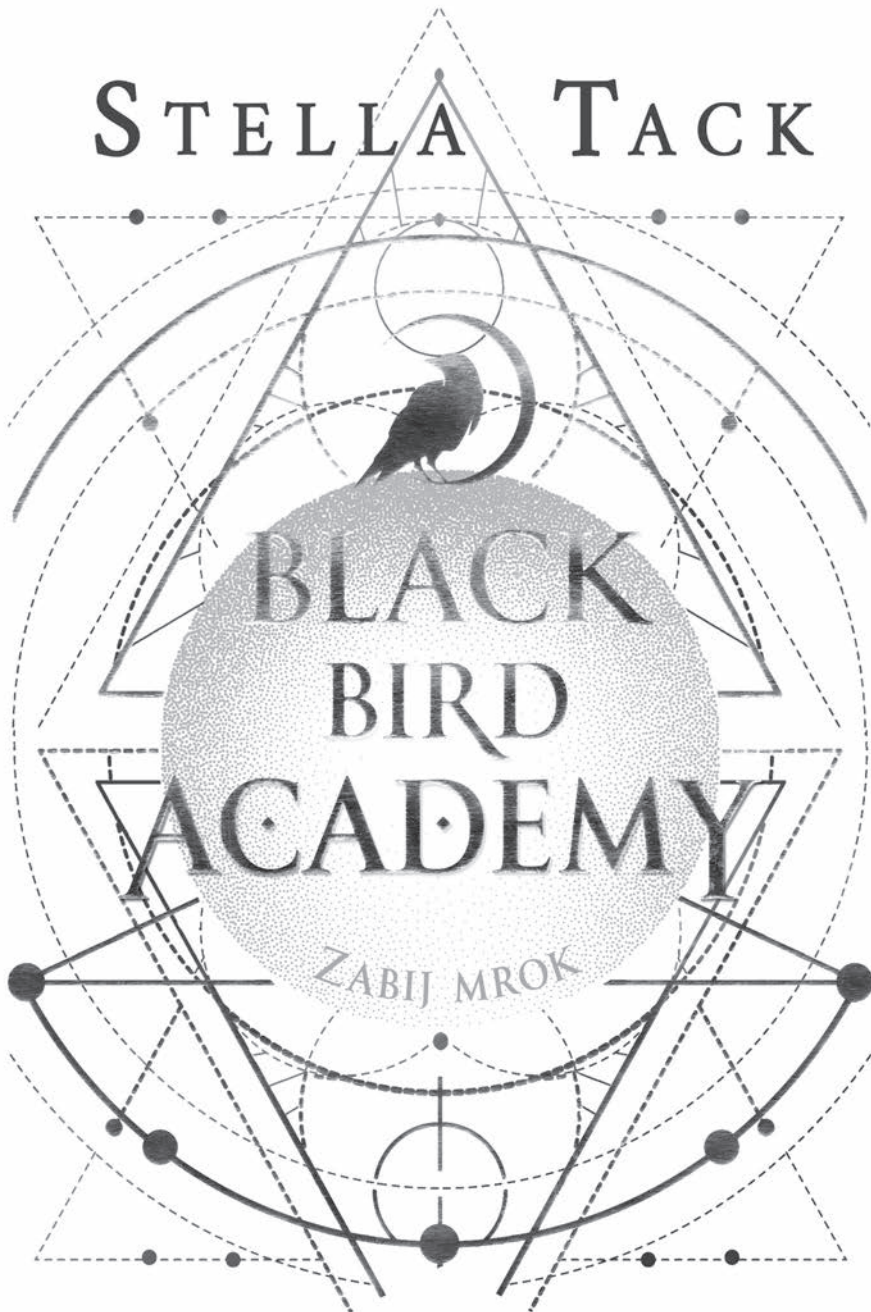
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: **opolgraf** 
DRUKARNIA

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

STELLA TACK



BLACK
BIRD
ACADEMY

ZABIJ MROK

Przełożyła: EWA SPIRYDOWICZ





Lekcja I

Magia to wielka skrywana mądrość –
rozsądek to wielka jawna głupota.

Paracelsus

Prolog

Gdyby Henry był tchórzem, w tym momencie wróciłby do mieszkania przy Central Parku. Wszedłby do wanny i odespał pijaństwo. Następnego dnia w nowych butach, w garniturze w jodełkę i krawacie, który dostał od matki na Boże Narodzenie, bo idealnie pasował do jego niebieskich oczu, poszedłby do pracy. Wjechałby na osiemnaste piętro, zasiadł za biurkiem i czekał, aż jasnowłosa sekretarka jego ojca, którą kiedyś puknął w pokój ksero, przyniesie mu kawę. Gdyby był tchórzem, śmiałby się z kiepskich dowcipów kolegów i udawał, że wszystko jest w porządku. I czekałby, aż policjanci przyjdą go aresztować. Bo dokładnie to wydarzyłoby się jutro.

Tyle że Henry nie był tchórzem. W każdym razie nie czuł się nim, gdy uniósł do ust butelkę taniego wina i upił spory łyk. Popatrzył w górę. Piętro po piętrze. Chrysler Building wznosił się nad nim niczym potwór ze szkła i stali. Monstrum, które od roku, dzień w dzień, wysysało z niego chęć do życia. Nawet o tak późnej porze w większości okien wciąż paliły się światła.

Zapach hot dogów uderzał w nozdrza, splatał się z typowym dla Nowego Jorku odorem moczu, potu i spalin.

Powiniennem skoczyć, zanim świat mnie powstrzyma.

Te słowa z tyłu głowy były jak szept, jak zaproszenie. A może to tylko myśl. Echo. Bez entuzjazmu znowu uniósł butelkę do ust i wypił kolejny łyk. Tracił czucie w opuszkach palców.

Zatoczył się, wdepnął w obrzydliwą kałużę cuchnącą ściekami. Wystarczył jeden krok, by bezpowrotnie zniszczyć włoską skórę wartą tysięcy pięćset dolarów. Mimowolnie prychnął z rozbawieniem, jednocześnie starając się powstrzymać łzy, których nie wypłakał od piętnastu lat. Zamrugał i zobaczył w kałuży swoje odbicie. Był blady. Zmierzwione włosy, podkrążone oczy, przekrzywiony krawat. Przez wszystko przebiły ślady niewątpliwej urody. Jeszcze przed chwilą był całkiem przystojny, ale teraz? Teraz wyglądał jak pognieciona fotografia. Skrzywił się, uniósł butelkę i nagle poczuł gwałtowny cios w plecy. Był tak nieoczekiwany, że Henry zatoczył się do przodu. Woda z kałuży rozprysła się na wszystkie strony. Butelka wypadła mu z dłoni i z głośnym brzękiem roztrzaskała się o trotuar.

Co, do...?

Wzbięła w nim wściekłość, rozpalona, czerwona, pulsowała w żyłach. Myśli rozcieńczone przez alkohol nie mogły poskładać się w racjonalne wytłumaczenie tego, co się stało. Odłamki szkła zatrzęszczały pod nogami, gdy odwrócił się niepewnie i wybełkotał:

– Nie możesz uważać?

– To ty stoisz mi na drodze, chlorze!

Cięta riposta uwięzła mu w gardle, gdy spojrzął w dziecinną buzię, która patrzyła na niego z dołu. Delikatne rysy, otoczone ciemnymi lokami, wykrzywione wściekłością, gdy chłopiec wstawał z ziemi i jednocześnie nerwowo oglądał się za siebie. Henry podążył za jego wzrokiem, jednak w uliczce panował spokój, zwłaszcza jak na standardy Manhattanu. Była prawie wymarła. Paliła się tylko jedna latarnia i tylko ona wraz z neonowym billboardem z roztańczonym hot dogiem rzucały odrobinę światła i dodawały blasku ulicznemu kałużom. Niebo zagrzmiało cicho, jakby zbierało siły, by zalać miasto jeszcze większymi potokami wody.

Chłopiec rozejrzał się i zarazem odsunął o krok od Henry'ego. Jeszcze jeden. Jeszcze jeden.

– Nie tak szybko – warknął Henry, chwycił gnoja za ramię, żeby ten mu nie uciekł. – Co tu robisz o tej porze? Gdzie są twoi rodzice?

Chłopiec zmierzył go drwiącym spojrzeniem, jakby usłyszał najgłupsze pytania wszech czasów, i dopiero po chwili zerknął na palec Henry’ego na swoim kościstym barku.

– Precz z łapami.

– Nie powinienes o tej porze być w domu? – Henry nie dawał za wygraną.

Dzieciak się skrzywił.

– A powinienem?

– Owszem. Ile ty masz lat? Dwanaście?

Chłopiec westchnął, dotknął palcami nasady nosa.

– Za stary jestem na te bzdury.

– Co takiego? – zapytał z coraz większym zdumieniem Henry, a potem krzyknął przerażony, gdy chłopiec wyciągnął rękę i małą brudną dłonią zakrył mu usta.

– Zamknij się – warknął gnojek i odwrócił głowę tak gwałtownie, że ciemne loki zatańczyły wokół wąskiej buzi. Jego nozdrza się rozděły, gdy głęboko zaczerpnął powietrza. W tym geście było coś niemal zwierzęcego. Uparcie wpatrywał się w uliczkę za swoimi plecami.

Henry znieruchomiał. Mamrotał niewyraźnie pod jego dłonią:

– Co się dzieje? Masz kłopoty?

– Właściwie można tak powiedzieć. Znaleźli nas – warknął chłopiec i oderwał rękę od ust Henry’ego.

Ten podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczył, jak coś wynurza się z cienia. W pierwszej chwili wydawało się, że to przechodzień, który wyszedł z psem na spacer. Z tej odległości Henry dostrzegł jedynie zarys kapelusza i płaszcz, którego poły rozwiewał wiatr. Właściwie nie było żadnego konkretnego powodu, dla którego miałby się wzdrygnąć. Jednak włosy na karku stanęły mu dęba, a gdy wypuścił powietrze z płuc, jego oddech tańczył mu przed twarzą w małych obłoczkach.

Światło z neonu reklamowego dotknęło typa w płaszczu. Henry widział wyraźnie, jak ten najspokojniej w świecie zatrzymał się pod uliczną latarnią, jakby wcale mu się nie śpieszyło. Rozległ się cichy trzask, gdy nieznamy zapalił papierosa. Kiedy się zaciągał, żar zajaśniał. Po-tem zaczął mówić, jednocześnie wypuszczając z ust kłęby dymu.

– Więc tu się ukryłeś, Lore. Wszędzie cię szukaliśmy – powiedział mężczyzna ochryplym głosem. – Przestań się wygłupiać i chodź ze mną. Wystarczająco długo bawiłeś się z nami w kotka i myszkę.

Chłopiec u boku Henry’ego pobladał i cofnął się o krok.

– Znasz go? To twój tata? – dopytywał Henry.

– Cholera – mruknął chłopiec, oderwał się od Henry’ego i puścił biegiem.

Ten, zaskoczony, zachwiał się.

– Hej! Hej, poczekaj! Dokąd to? – zawołał za dzieciakiem.

Młody nie odpowiedział, za to typ w trenczu pstryknął palcami. Dźwięk ten niósł się niespodziewanie głośno ulicami i nagle z zaułka wyrwał się gardłowy pomruk, który sprawił, że włosy na karku Henry’ego podniosły się jeszcze bardziej. Szczupły, czarny korpus, wydłużony pysk i sterzące uszy wskazywały na dobermana, jednak w zwierzęciu było coś dziwnego. Coś z nim było nie tak. Jednym gigantycznym susem odciął chłopcu drogę. Z jego gardzieli wydobywało się groźne warczenie. Henry przerażony odskoczył o dwa kroki.

– Co, do licha... – zaczął, ale w tym momencie chłopiec odwrócił się błyskawicznie, zacisnął drobne pięstki i zaczął krzyczeć do nieznanego:

– Jak śmiesz? Odwołaj swoje bydło, Alvy, bo inaczej tego pożałujesz!

Koniuszek papierosa znowu się zajarzył, a gdy ten facet – Alvy? – się roześmiał, jego twarz znowu spowiły kłęby dymu.

– Lore, przestań się ukrywać. To się robi naprawdę żalodne, nie uważasz? Od tygodni depczę ci po piętach, a ty reagujesz coraz bardziej rozpaczliwie.

Chłopiec splunął.

– Odpieprz się, Alvy, bo jak nie...

– Bo jak nie, to co? W twojej sytuacji nie bardzo możesz stawiać warunki. Uciekaj dalej. Poszukuje cię cała organizacja. Znajdziemy cię, nieważne, gdzie się ukryjesz.

Pies znowu zawarczał i nagle Henry'emu wydawało się, że bydlę rósł. Zwiesiło łeb, wyprężyło grzbiet, tak że teraz przypominał potężny garb. Henry instynktownie zasłonił chłopca własnym ciałem i łypnął na Alvy'ego.

– Jest pan jego ojcem? Bo jeżeli nie, spieprzaj pan razem ze swoim bydlakiem, w innym wypadku wezwę policję.

Typ powoli wypuścił powietrze z płuc. Wyrzucił niedopałek, a wyglądało to tak, jakby z jego palców leciały iskry gasnące w powietrzu.

– Uciekaj stąd, człowieku. To nie twoja sprawa.

Henry zachwiał się i w duszy przeklinał alkohol, który zdążył wypić.

– Dzwonię po policję – powtórzył głośniejszym głosem, chociaż cały drżał. Nerwowy oddech unosił się w obłoczku przed jego twarzą, jakby w ciągu ostatnich paru minut temperatura spadła o kilkanaście stopni. – Ja...
– zaczął i sięgnął po telefon.

Alvy pstryknął palcami. Pies zawarczał. Rozległ się trzask. Dziwny odgłos, jakby pękały kości, a jednocześnie pies naprawdę rósł, coś wydostawało się z jego garbu. Henry krzyknął, zatoczył się w tył, zasłonił sobą chłopca.

Ten złapał go za ramię i syknął:

– Uciekaj, bo inaczej...

Pies był szybszy. Jeszcze zanim chłopiec zdążył dokończyć zdanie, bydlę z wyszczerzonymi kłami rzuciło się przed siebie. Z niewiarygodną siłą, brutalnie, wbiło zęby w łydękę Henry'ego. Przez ułamek sekundy ten był w takim szoku, że tylko wpatrywał się w kły zagłębiające się w jego ciele. Pies warczał, kości trzeszczały, a potem przyszedł ból. Oślepiająca błyskawica, która przeszła całe ciało. Miał wrażenie, że żywcem

wyrywają mu nogę. Kolana odmówiły posłuszeństwa, krzyczał tak głośno, jak prawdopodobnie nie krzyczał nigdy w życiu. Z przerażeniem wpatrywał się w potwora przed sobą, jednak wzrok płatał mu figle, bo zwierzę z każdą chwilą wydawało się większe. Dosłownie rosło w oczach, aż przypominało najprawdziwszego potwora. Mimo sierści miało w sobie coś ludzkiego – potężny korpus, dwie porośnięte sierścią ręce, które wyglądały jak kończyny małpy. Twarz niczym wyciosana z kamienia, a jednocześnie wyraźnie zarysowany psi pysk, łącznie z wilgotnym nosem i czarnymi ślepiami, które patrzyły na niego bezrozumnie. Ze zdeformowanej czaszki nagle wyrosły rogi. Henry’ego otoczył zapach wilgotnej sierści i cuchnący oddech.

Monstrum zarzuciło łbem, a z piersi Henry’ego wyrwał się szloch. W mgnieniu oka przeciął powietrze niczym szmaciana lalka, jego bezwładne ciało uderzyło w mur kamienicy. Zachrząściło mu w głowie. Nie zwiastowało to niczego dobrego. Stracił ostrość widzenia, krzyk uwięził mu w gardle. Zebrał się w sobie. Potwór warczał cały czas, a z mordy kapąły mu jad i czerwona krew. Henry jęknął i spróbował odczołgać się od bestii, ale za plecami miał ścianę. Zwierz przesywał go złowrogim wzrokiem. Przerazająco inteligentnym. Rozwarł paszczę, ryknął i ruszył do ataku.

Henry osłonił ramionami twarz w obronnym geście. Czuł, jak woda z kałuży przesiąka przez garnitur. Trząsał się jak galareta, zacisnął oczy, czekając na najgorsze... Już czuł ostre kły, już widział swe rozszarpane ciało, ale... Nagle do jego uszu dotarł przeraźliwy pisk. Rozdygotany nieśmiało uniósł powieki i zobaczył chłopca. Tuż przed monstrum. W psim ślepiu sterczał odłamek szkła. Krew tryskała na dziecięcą buzię.

– Niech to cholerny szlag! – Krzyk Alvy’ego zagłuszał wycie psa.

Chłopiec jednym zwinnym ruchem wydobył szkło z psiego ślepią, odwrócił się, złapał Henry’ego za rękę i pomógł mu wstać.

– Biegnij! – wrzasnął.

Henry był w takim szoku, że posłusznie wykonał polecenie, chociaż miał wrażenie, że lada chwila rozpadnie się na tysiąc kawalków. Mała

dłoń ciągnęła go za sobą, za plecami wciąż słyszał groźne pomruki bestii i ostre krzyki jej właściciela.

Henry biegł. Biegł po życie. Co tu się właśnie wydarzyło? Przecież to wszystko nie może dziać się naprawdę. Najwyraźniej za dużo wypił. Czyli jednak jest tchórzem. Dlatego pojechał do domu. Tak naprawdę leży w wannie i odsypia pijaństwo. Rano otworzy zapuchnięte oczy, zmieni garnitur i pojedzie do pracy. Każe sobie podać kawę, puszczając mimo uszu żarty kolegów, a potem pozwoli się aresztować za oszustwa podatkowe.

Jednak był tchórzem. Bo nie chciał umrzeć. To wszystko nie działo się naprawdę, nie działo się, nie działo...

– Tutaj! – Chłopiec wciągnął go w wąski zaułek, ciskając za siebie wszystkim, co wpadło mu w ręce. Kartonowe pudła padały na bruk, a ich zawartość roztrząskiwała się głośno. Chłopiec pchnął Henry'ego w kierunku kontenera na śmieci. – Właż tam! – syknął.

– Co? – zaczął Henry, a chłopiec jednym susem wskoczył do kontenera.

Słyszając za sobą sapanie potwora, mężczyzna zareagował instynktownie. Wola przetrwania wzięła górę. Wgramolił się do wielkiego kontenera. Sekundę później chłopiec zatrzasnął wieko i otoczyła ich nieprzenikniona ciemność. Henry słyszał tylko własny, zbyt głośny oddech.

Wdech, wydech.

Wdech, wydech.

Wdech, wydech.

Przełknął ślinę i poczuł na języku smak krwi.

– To się nie dzieje naprawdę. Nie. Nie... – powtarzał sobie szeptem, starając się jak najbardziej wtopić w otoczenie.

– Cicho – warknął ostro chłopiec i Henry przytrzymał powietrze w płucach.

Usłyszał to mimo rozszalałego bicia własnego serca. Odgłos drapiących pazurów. Pazurów, które znajdowały się zdecydowanie za blisko.

Potem rozległo się warczenie i Henry przelknął jęk, z całej siły gryząc się w język.

To wszystko nie dzieje się naprawdę, nie, nie...

Pazury zgrzytały o metal tuż nad ich głowami. Henry znieruchomiał, gdy ktoś odsunął pokrywę i do kontenera zajrzał wąski pysk. Dostrzegł wyszczerzone kły. Widział, jak chłopiec się spina, gdy nagle węszenie przerwał głośny gwizd. Pysk się cofnął.

– Przestań grzebać w śmieciach, ty durniu! Szukaj dalej!

Bestia warknęła. Henry dostrzegł błysk kłów i poczuł, jak na jego policzek spada coś oślizgłego i mokrego. Z jego krtani chciał się wyrwać jęk, ale chłopiec odwrócił się do niego błyskawicznie i zakrył mu usta dłonią. Jego mała rączka pachniała przejrzałym bananem.

– No już. Nie mamy całego dnia – warknęła Alvy.

Odgłos, który potem nastąpił, oznaczał albo klapsa, albo kopniaka, bo zwierzę zawyło. A potem prychnęło gniewnie. Kontener zadrżał w posadach, gdy potwór odepchnął się od niego i zeskoczył.

Henry łapczywie zaczerpnął tchu. A potem wokół zapanowała cisza. Jednak mała rączka cały czas spoczywała na jego ustach. Nie słychać było żadnego ruchu, no chyba że karaluchów w śmietniku.

– Nie mogę oddychać – wyszeptał w końcu Henry.

– Cicho – syknął chłopiec. – Bosam jest co prawda niemal ślepy, ale wszystko słyszy, i ledwie wyjdziemy z tej cuchnącej puszki, znowu nas wywęszy.

Bosam?

Chodziło o tego potwora? Co to za pieprzona rasa? Henry skulił się w sobie, gdy chłopiec zabrał rękę z jego ust i nieufnie wyjrzał z kontenera.

– Nadal tam są? – zapytał szeptem Henry.

Mały przyłożył palec do ust, nakazując Henry'emu milczenie. I znowu tylko nasłuchiwali, aż chłopiec wreszcie westchnął i zerknął przez ramię na Henry'ego.

– Poszli już. Chodź. Musimy się pospieszyć.

Młody chwycił się krawędzi kontenera i zwinnie z niego wyskoczył. Henry poszedł w jego ślady, ale z mniejszą gracją. Gdy wylądował na trotuarze, pogryziona noga ugięła się pod nim. Stłumił krzyk, zacisnął zęby i dysząc głośnie, oparł się o wilgotny mur.

– Co to... Co to za rasa psa?

Jasne kosmyki opadały mu na twarz. Chłopiec stał przed nim. Błady, szczupły, jak duch. Otaczała go ciemność, zdawał się stapiać z nią w jedno.

– To nie był pies.

– Tylko co?

Henry nie doczekał się odpowiedzi. Zawahał się, podskakiwał na bołającej stopie. Ciekawe, czy bardzo krwawi? Czuł dziwną wilgoć.

– Musimy wezwać policję i pogotowie. Muszą zabrać mnie do szpitala – wymamrotał cicho.

Te słowa brzmiały dziwnie w jego ustach. Nerwowo szukał telefonu. Odnalazł kciukiem ekran. Spadały na niego krople. Znowu zaczęło padać. Monotonne pluskanie deszczu dotarło do niego dopiero teraz, gdy drżącymi palcami wbijał PIN. W tej samej chwili drobna brudna dłoń wyrwała mu aparat z ręki.

– Co ty wyprawiasz? Musimy wezwać policję – jęczał Henry.

– Nie ma na to czasu.

– Do reszty zwariowałeś? Oddaj mi telefon, natychmiast. Musimy stąd spieprzać! – wysapał nerwowo Henry. Głos mu się łamał.

Chłopiec przyglądał mu się z powagą. Zamrugał. Znowu to samo. Jego źrenice zachodziły mrokiem, który gęstniał, aż w końcu wypełniał całe oczy. Teraz przypominały kule czarnego marmuru. Gdy patrzył nimi w niebo, nie było w nich ani odrobiny życia. Jakby pochłaniały nawet światło.

To nie było spojrzenie dziecka. Ba, to nie było nawet spojrzenie normalnego człowieka. Właściwie przypominało Henry’emu spojrzenie monstrualnego psa. Złe i zarazem przerażająco inteligentne.

Henry się cofnął, ale natychmiast poczuł za plecami mur.

– Kim czy raczej czym jesteś? – wykrztusił.

Chłopiec zrobił krok do przodu. Z jego ciemnych loków spływały krople deszczu.

– Jestem Lore. Słuchaj, naprawdę mi przykro, że się w to wszystko wpakowałaś, ale nie mamy czasu. Alvy będzie mnie szukał i dlatego muszę sobie pożyczyć twoje ciało.

– Co musisz?

Henry nie miał czasu, by do końca sformułować zdanie, bo coś przeszło jego klatkę piersiową. Z taką siłą, że jego mostek pękł. Był w takim szoku, że mógł tylko na siebie patrzeć, na odłamek szkła w piersi i na małą dłoń, która się na nim zaciskała.

Chłopiec o niemożliwie czarnych oczach stał przed nim i podnosił ku niemu głowę.

– Sorki, może trochę piec.

Henry rozchylił usta. Osuwał się na ziemię wzdłuż muru. Z kącika jego ust sączyła się krew.

– Nie martw się, zaraz będzie po wszystkim – obiecał chłopiec. Wyprostował się.

Henry gwałtownie zaczerpnął tchu. Przez ułamek sekundy miał przed oczami własny oddech. W następnej chwili usłyszał przerażający trzask. Zamrugał. Chłopiec odrzucił głowę do tyłu tak bardzo, że właściwie powinien pęknąć mu kark. Małe usta rozwarły się w niemym krzyku. Z gardzieli buchnął czarny dym.

Henry otworzył szeroko oczy. Chciało mu się krzyczeć, ale z jego ust nie padł żaden dźwięk. Mógł tylko leżeć na ziemi, sapiąc ciężko, i patrzeć, jak z chłopca wydobywają się czarne opary. Dzieciak jęknął, zaczął dygotać, jakby wstrząsały nim dreszcze. Żrenice uciekły mu pod powieki, a z jego ust ciągle wydostawały się kłęby dymu. Czarne smugi, w których coś pulsowało, coś, co w pewnym sensie przypominało rytm serca. Czarna mgła opadła na ziemię, węzowymi ruchami zmierzała

w kierunku Henry'ego. Ten jęknął spanikowany, a tymczasem wrok zasnuły mu ży. To sen. To wszystko nie dzieje się naprawdę, to tylko sen, tylko sen, tylko sen. Przecież to niemożliwe. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. To nienaturalne. Nadprzyrodzone. Za wszelką cenę chciał się obudzić, obudzić, obudzić!

Dlaczego w takim razie, gdy tylko czarny dym dotarł do jego twarzy, wszystko wydawało się tak bardzo prawdziwe? Z westchnieniem odwrócił głowę w drugą stronę, starał się wstrzymać oddech, gdy czarne opary muskały jego policzki, wślizgiwały się między zaciśnięte wargi. Nagle poczuł smak popiołu, zimnego kamienia i czegoś prastarego. W jego uszach zbierało ciśnienie. Henry wrzasnął. Zrobił to z taką siłą, że z jego piersi naprawdę wyrwał się krzyk. Krzyk rozpacz, załamany, surowy. Nic, czego można oczekiwać z człowieczych ust. I podczas gdy jego oczy zasnuwała ciemność, Henry poczuł... Coś. Coś, co nie było nim. Coś obcego, coś innego gatunku. Coś nieludzkiego. Coś, co brało go w posiadanie, przepęniało jego żyły, aż obawiał się, że eksplodują. Czarne, nabrzmiałe, rysowały się wyraźnie na skórze.

Henry trzymał się kurczowo, choć sam nie wiedział właściwie czego. Resztek istnienia? Cichutko, jak przez pomruki fal, usłyszał wreszcie obcy głos we własnej głowie.

– Żegnaj, Henry.

Potem poczuł cios. Stracił równowagę, runął. Tylko że tym razem nie osunął się odrobinę. To nie było jak zasypianie, teraz wystarczył jeden oddech i Henry'ego nie było. Chłopiec upadł na ziemię.

Przez jedną krótką sekundę przepętnioną mrokiem, na ulicy panowała śmiertelna cisza. Nic nawet nie drgnęło. Powietrze przecinał monotony deszcz. Gdzieś obok Nowy Jork żył swoim życiem. To, co wydarzyło się przed chwilą, pozostało niesłyszalne i niewidzialne.

Póki mężczyzna nie poruszył jednym palcem.

Potem drugim.

Powieki drgnęły.

Młody mężczyzna otworzył oczy. Po ich błękitnie nie było śladu. Oczy czarne jak marmurowe kulki wpatrywały się w niebo. Nie było w nich ani odrobiny życia. Jakby pochłaniały całe światło.

Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu zadowolenia. Odetchnął głęboko pełną piersią, wstał jednym zwinnym ruchem. Powoli obmacywał nową twarz zakrwawionymi palcami. Uczył się jasnych włosów, przesuwając dłonią po idealnie zarysowanych kościach policzkowych, po prostym nosie, aż dotarł do pełnych ust.

– Lepiej. O wiele, wiele lepiej – wymamrotał i zaczął zapinać marynarkę. Powoli, metodycznie, jakby rozkoszował się ruchami nowego ciała, zerkając na nieruchomego chłopca.

Ten ani drgnął. Deszcz zalewał wątle ciało.

Mężczyzna poprawił niebieski krawat i nonszalancko ominął zwłoki.

– Znowu było cholernie blisko – mruknął pod nosem i bez wysiłku rozplątał się w ciemności.

1

Leaf

– Hamburger z dodatkowym ketchupem dla dziesiątki, smażona wołowina na piątkę, hot dogi bez bułek, za to z dodatkową musztardą, na stolik numer dwa. Raz pankejki z borówkami i boczkiem, jajka sadzone bez żółtek, ale to na wynos. Proszę, tym razem zapakuj porządniej niż ostatnio. Nie chcę kolejny raz wysłuchiwać narzekań, że jajko z sadzonego zmieniło się w jajecznicę! – krzyknęłam w głąb kuchni.

W odpowiedzi załała mnie fala przekleństw.

– Co to, do cholery, pieprzony Ritz? Co za dodatkowe życzenia? – warknął do mnie Cox. Rozgrzany tłuszcz pryskał na wszystkie strony. Masywne ciało mojego szefa spowił obłok pary.

– Mamy gofry pełnoziarniste? – zapytałam w odpowiedzi.

– Za mało mi płacą za taką harówę – mruknął pod nosem Cox.

– Ty tu jesteś szefem, więc musisz po prostu sam sobie więcej zapłacić – odparłam rozbawiona i sięgnęłam po naczynie.

Mój szef otarł pot z czoła. Nieśmiertelnik, po którym poznać można było byłego żołnierza marines, kołysał się na poplamionej białej koszulce. Cox łypał na mnie gniewnie.

– Mógłbym równie dobrze odliczyć z twojej wypłaty wszystko, co przeżera twój braciszek. – Gestem wskazał najdalszy stolik w knajpie.

Obok szafy grającej dostrzegłam czarną szopę włosów mojego brata MJ-a. Oczywiście siedział z nosem w komiksie. Przed nim stał pusty talerz.

Spojrzałam na Coxa ze skrucłą.

– Ma piętnaście lat i ciągle rośnie.

– Wciągnął już trzy talerze pankejków i dwa milkszejki. To nie jest faza wzrostu, to jest czarna dziura.

– Przekażę mu – zapewniłam Coxa i ułożyłam sobie talerz na przedramieniu.

Szef zmarszczył czoło i odwrócił się, potrząsając głową.

– Za moich czasów młodzi ludzie robili inne rzeczy, nie tylko siedzieli z nosem w komiksie i rzucali dziwnymi kostkami...

Pozwoliłam mu mamrotać. Zaniośłam gofry do stolika numer trzy.

– Proszę bardzo. Może jeszcze kawy?

– Nie, dziękuję.

– Ej, Leaf, a może mnie dolejesz? – rozległ się oschły głos od strony kontuaru.

– Z przyjemnością, Alex. – Pospiesznie zebrałam z podłogi kilka serwetek i stanęłam za półokrągłą ladą. – Chwileczkę – poprosiłam, odstawiłam pusty dzbanek i sięgnęłam po drugi, w którym kawa aż się przelewała.

– I jeszcze kawałek tego ciasta, skarbie – wymamrotał Alex, nawet nie odrywając wzroku od gazety.

– Pomyśl o swoim cholesterolu. – Dolałam mu kawy.

Zmarszczył czoło, podniósł wzrok, poprawił rogowe okulary.

– A ty kim jesteś? Moją żoną?

Rozbawiona, odwzajemniłam jego spojrzenie. Miałam nadzieję, że nie zorientuje się, że od godziny podaję mu kawę bezkofeinową.

– Nie, twoją kelnerką, która od sześciu lat podaje ci trzy posiłki dziennie. Uwierz mi, nie możesz sobie pozwolić na jeszcze jedną operację na otwartym sercu – odparłam.

Alex z ponurą miną wrócił spojrzeniem do gazety.

– Za to nie dostaniesz napiwku.

– Płacisz dwadzieścia dolarów i pięćdziesiąt centów. A z napiwkiem, o którym oboje wiemy, że i tak go dostanę, płacisz dwadzieścia trzy dolary.

Alex mruknął coś pod nosem i cisnął na stół kilka pogniecionych banknotów.

– Reszta dla ciebie. Ale nie mów Coxowi, bo ten cholerny skąpiec znowu obetnie ci napiwki.

– Do jutra, Alex. Nie zapomnij parasola. – Brodą wskazałam okna, o które deszcz uderzał tak szybko, tak mocno, że niemal nie dało się dostrzec świata za szybą.

Alex mruknął coś jeszcze o śwędzącym palcu u nogi, co jakoby nie zwiastowało niczego dobrego, ja tymczasem przeszłam się po knajpce i dolewałam kawy pozostałym gościom. Przy okazji szturchnęłam łokciem Missy, która od dwudziestu minut gapiała się w telewizor i w wyjątkowo ślimaczym tempie wsypywała sól do pojemników. W odpowiedzi zrobiła balon z gumy do żucia, który pękł między jej wargami pokrytymi ciemną szminką.

– Missy, nie chcę ci przeszkadzać, ale mogłabyś łaskawie przejąć tych gości? – Spojrzałam w kierunku rodziny, która właśnie w tym momencie weszła do środka z rozwrzeszczanymi dziećmi. Wokół nich zdążyła powstać kałuża. Lało od wielu dni, a jeżeli wierzyć pogodyncze, która przed chwilą przedstawiła prognozę na najbliższe dni, sytuacja bynajmniej się nie zmieni.

Balon pękł. Missy zaszczycała nowo przybyłych przelotnym spojrzeniem spod mocno wytuszowanych rzęs i skrzywiła się.

– Nie, dzięki – odparła i ponownie ze znużeniem zajęła się dosypywaniem soli.

– Niby dlaczego nie? – Staralam się zachować neutralne brzmienie głosu, nawet jeżeli postawa Missy doprowadzała mnie do szału. Dziewiętnastolatka pracowała tu od zaledwie trzech tygodni, ale w tym czasie zdążyła już cztery razy nie przyjść na swoją zmianę, wielokrotnie się spóźnić albo w ogóle nie przejmować pracą. Sprawiała wrażenie, jakby nienawidziła tu wszystkiego. Jedyne, co autentycznie budziło jej zainteresowanie, to ten jeden gość, który przychodził od kilku dni.

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, żeby przełknąć złośliwy komentarz.

Missy w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

– Nie znoszę dziecięcych łapek. Są małe i lepkie.

Oddychaj, Leaf. Ty też kiedyś byłaś nastolatką.

– No cóż, takie właśnie są łapki dzieci.

– Zawsze zapaprają całą kartę dań.

– I dlatego karty są laminowane.

– Obrzydlistwo.

Zacisnęłam powieki.

– Missy! – warknęłam.

Przerwał nam dźwięk dzwoneczka z kuchni.

– Zamówienia piątki i szóstki są gotowe i same się na stoły nie zaniósł! – wrzasnął do nas Cox.

Uniosłam brew i posłałam Missy znaczące spojrzenie.

– Piątka i szóstka czy dziecięce łapki?

Missy westchnęła, oderwała się od kontuaru i podeszła do kuchennego okienka.

No i proszę.

Z uśmiechem odwróciłam się na pięcie, podeszłam do przemoczonej rodziny i kilka razy zaklikałam długopisem.

– Witamy w Cox's Diner. Jestem Leaf i dzisiaj będę państwa kelnerką. Co mogę państwu zaproponować?

– Macie kawę? Na dworze jest lodowato, burza się rozszalała. Nie zdołaliśmy ująć nawet kilku metrów – oznajmił z westchnieniem ojciec rodziny.

– Ile pan tylko chce – zapewniłam go. Jego żona tymczasem ze zmarszczonymi brwiami studiowała naszą kartę dań.

Głośny grzmot kazał mi wyrzeć na zewnątrz. W szybie ujrzałam też swoje blade odbicie. Miałam na sobie żółty mundurek, który zdążył zbiec się w praniu tak, że prezentowałam głębszy dekolt, niżbym

chciała. Krótka spódniczka podkreślała krągłe pośladki. Już w gimnazjum byłam tą z największymi cyckami i tyłkiem. Geny, ale najwyraźniej nieodziedziczone po mamie. Ona należała do tych, którzy mogą zjeść, co tylko zapragną, a i tak nie przytyją. W moim wypadku tak niestety nie było. Jedyna szczupła część mojego ciała to talia, i przez to połączenie jeszcze w szkole zyskałam przezwisko Betty Boob. Kilka marnych razy usiłowałam pozbyć się nadmiaru kilogramów w klubie fitness, ale skończyło się na tym, że sącząc koktajl proteinowy, obserwowałam, jak moja współlokatorka podrywa trenera personalnego. Tym samym udało się nam ustalić, że nawet na siłowni można przytyć, zwłaszcza jeżeli ktoś wciąga sześć koktajli w niecałą godzinę.

Odgarnęłam kosmyk z twarzy w kształcie serca, w której – moim zdaniem – jedyny interesujący element stanowiły zielone oczy. Tylko że teraz piekły po dwunastogodzinnej zmianie, którą odwalałam za trzy dolary za godzinę. Plus napiwki, więc dobre i to. Patrzyłam na moje ciemnobrązowe włosy, które nie mogły się zdecydować, czy chcą być proste, czy kręcone. W efekcie były tylko zmierzwione, dlatego zebrałam je w luźny kok z tyłu głowy. Cieszyłam się już na koniec zmiany, kiedy je rozpuszczę i zmyję z siebie napięcie razem z zapachem starego oleju.

Deszcz bębnił o szyby z taką siłą, że miało się wrażenie, jakby z nieba spływała kurtyna wody. Potężna błyskawica przeszła nieboskłon. Od towarzyszącego jej grzmotu zadrżały kubki na stolikach.

Światło jarzeniówek zamigotało. Trwało to zaledwie sekundę. W tym mgnieniu oka wydało mi się, że widzę wysoką postać pod jedną z ulicznych latarni, która patrzyła prosto na mnie przez okno knajpy.

Kolejny grzmot. Światło latarni także zadygotało. Na chwilę na dworze zapadła nieprzenikniona ciemność. Gdy blask wrócił powoli, z wahaniem, postać zniknęła. Zostało tylko przerażenie na mojej twarzy widoczne w odbiciu. Moje ramiona okryły się gęsią skórką, serce biło jak oszalałe, gdy niespokojnie wyglądałam na zewnątrz. Niech to szlag, naprawdę to widziałam? Ale już nikogo tam nie ma, prawda? Moje

współlokatorce mają rację. Powinnam oglądać mniej dokumentów kryminalnych.

– Ta buda zaraz się rozwali. Nie moglibyście przynajmniej podkręcić ogrzewania? Strasznie tu zimno. Proszę pani? Halo?

Denerwujący głos ściągnął mnie na ziemię, z powrotem do restauracji.

– Zaraz podkręcę ogrzewanie – zapewniłam kobietę i przyjąłam zamówienie całej rodziny. Odwracając się na pięcie, odruchowo potarłam ramiona. – Naprawdę zrobiło się zimno.

– Ej, Cox, zamówienie dla ósemki. – Rzuciłam karteczkę na stół. – W tej chwili wszyscy mają, czego chcieli, więc jeżeli nie masz nic przeciwko zrobię sobie teraz piętnaście minut przerwy na obiad.

Odpowiedział mi pomruk, który uznałam za zgodę. Nalałam sobie kawy do wielkiego kubka i podeszłam do najlepszego stolika, obok szafy grającej.

– Czy ja chcę wiedzieć, dlaczego na okładce są macki i cycki? Czyżby algebra tak bardzo się zmieniła od czasów, gdy skończyłam szkołę? – zapytałam mojego brata i upiłam spory łyk kawy, on tymczasem pośpiesznie zamykał komiks.

– Co... Cholera, co ty tu robisz? – MJ łypał na mnie groźnie, ja tymczasem ukradkiem zwinęłam mu ostatniego pankejkę z talerza.

– Pracuję. A ty miałeś odrabiać pracę domową, a nie zajmować się... Tym. – Widelcem wskazałam komiks, który mój brat zdecydowanie zbyt szybko starał się upchać w plecaku.

– Już wszystko odrobiłem. Chciałem...

– ...zejść z drogi maco-monstrum? – dokończyłam.

MJ się skrzywił.

– Ma nowego guru.

– Tego typa z wypchaną fretką?

– Nie, tego typa z książką kucharską.

– Ach, tak?

– Od tygodnia serwuje tylko kuchnię makrobiotyczną.

– Brzmi... Bardzo biotycznie.

– Nie jemy praktycznie nic, co rzuca jakikolwiek cień. Nawet tata prawie nie bywa w domu, zdybałem go, jak chowa salami pod ręcznikami.

– Biedny Bob – wymamrotałam.

– I teraz wszyscy śmierzimy salami, co oczywiście wpędza Cherry w paranoję.

MJ przeczesał palcami gęste czarne loki. W niczym nie przypominały orzechowobrazowego chaosu na mojej głowie. Co prawdopodobnie wynikało z tego, że wspólną mieliśmy niechęć do warzyw, ale ani jednego genu. Moja mama i jego ojciec przez dwa lata byli małżeństwem. Dla Boba Browna związek z moją mamą był, po śmierci jego pierwszej żony, drugim małżeństwem, do którego wniósł MJ-a. Dla mojej mamy Bob Brown był mężem numer cztery i powodem, dla którego sześć lat temu przeprowadziłyśmy się z Michigan do Nowego Jorku.

Niestety małżeństwo przetrwało tylko dwa lata.

Dwa lata to niezbyt imponujący wynik, ale był to najlepszy okres w moim życiu. Do dziś MJ i Bob stanowili dla mnie namiastkę prawdziwej, stabilnej rodziny. Między innymi z ich powodu zostałam w Nowym Jorku, gdy małżeństwo się rozpadło i mama z nowym mężem udała się na Hawaje. Zamiast wyjechać razem z nią, zamieszkałam z Bobem i MJ-em i skończyłam szkołę średnią, żeby zacząć studia na Uniwersytecie Nowojorskim. Ten jeden rok w college'u, gdy wreszcie zdecydowałam się na resocjalizację i prawo, był tak idealny, że coś musiało pójść źle. Bo w moim życiu nigdy nic się nie układało. I oczywiście, że poszło źle. Haczyk miał na imię Cherry.

Bob mówił, że to miłość od trzeciego wejrzenia. Ja twierdziłam, że w ten sposób chciał zapomnieć o mojej mamie. I naprawdę nie miałam mu za złe, że stara się posklejać skorupy, które moja rodzicielka po sobie zostawiła. Jeżeli River Young jest w czymkolwiek dobra, to właśnie w łamaniu serc, podczas gdy jej własne jest aktywne jak skrzydła kolibra. Jej sposób bycia przyciągał mężczyzn w tym samym stopniu, co jej

zamiłowanie do dramatyzmu. Zakochiwała się szybko, żyła intensywnie, a potem, gdy przeżyła wszystko, każdy aspekt, aż do granic, zostawiała ich pustych jak wydmuszki.

W dzieciństwie zaliczyłam mniej więcej tuzin miast. Czasami z nowym ojczymem, czasami tylko z mamą, gdy potrzebowała więcej czasu, by dojeść po siebie po kolejnym związku i za bardzo dawała się ponieść urokowi chardonnay i sztuki, co jednak zazwyczaj i tak rzucało ją w ramiona nowego faceta.

Nie mogłam mieć pretensji do Boba, że usiłował znowu żyć własnym życiem, nawet jeśli wszyscy wiedzieliśmy, że tak naprawdę nikt nigdy nie zdoła zapomnieć River Young. I tym sposobem Bob przygruchał sobie Cherry. Problem w tym, że ta zdawała się wyjątkową niechęcią darczyć jego przyrodnią córkę z poprzedniego małżeństwa.

Z westchnieniem oparłam podbródek na dłoni i spojrzałam na młodszego brata.

– Siedzisz tu już od kilku godzin. Wracaj do domu, MJ.

– Chciałem na ciebie poczekać – skłamał. Niestety, był w tym beznadziejny.

– Ach, a więc czekasz na mnie? – zapytałam z udawanym rozczuleniem i zatrzepotałam rękami. – A niby od kiedy mam na imię Missy?

MJ zareagował jak zawsze, ilekroć padało jej imię: zaczerwienił się po uszy i jednocześnie usiłował zachować zimną krew. To połączenie sprawiało, że wyglądał, jakby miał zatwardzenie. Prześmieszne.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Prześmieszne i głupie.

– Młody... – zaczęłam, czym natychmiast ściągnęłam na siebie mordercze spojrzenie. – Stary? – spróbowałam jeszcze raz.

Przewrócił oczami.

– Nienawidzę cię.

– Ja ciebie też. Ale już całkiem poważnie. – Sięgnęłam po jego dłoń, uściśnęłam ją krótko, lecz mocno. – Wiem, że Missy jest śliczna, dorosła

i wściekła na cały świat, co może się wydawać bardzo seksowne. Abstrahując jednak od tego, że jest od ciebie starsza i przejawia niepokojącą tendencję do włamywania się do automatu z prezerwatywami, więc abstrahując od tego, to zazwyczaj kiepski pomysł, by zakochać się w dziewczynie, którą akurat teraz najbardziej pochłania nienawiść do całego świata. A najbardziej do siebie samej.

– Leaf...

– Chcę tylko powiedzieć...

– Daj. Sobie. Spokój – wycedził i cofnął dłoń.

– Ona po prostu złamie ci serce – zakończyłam miękko. Chciałam uścisnąć jego rękę, ale już ją zabrał. I dlatego uścisnęłam widelec.

MJ zacisnął zęby, wpatrzony w kałużę syropu na swoim talerzu. Samotna jagoda smętnie przywarła do krawędzi naczynia.

– Skończyłaś już? – wydusił z siebie.

– Chwilowo. – Rozparłam się wygodniej i pod stołem trąciłam go czubkiem sfatygowanego conversa. – Ja po prostu nie chcę, żebyś sam się unieszczęśliwił.

– Tak jak Ben unieszczęśliwił ciebie, zdradzając cię przez ponad dwa lata? – zapytał.

Ból, który zadały mi te słowa, był tak intensywny, że musiałam odwrócić wzrok.

Nie płakać.

Nie po raz kolejny.

Etap, w którym zaczynałam szlochać na samo wspomnienie Bena Andersona, dzieliły od chwili obecnej trzy tygodnie, sześć słoików masy orzechowej i dziewięćdziesiąt odcinków *Doktora Who*.

– To jest jego narzeczona. Z tej perspektywy to ja byłam tą trzecią – zauważyłam, starając się opanować pieczenie pod powiekami.

– Mogłabyś, z łaski swojej, przestać bronić tego dupka? Okłamywał cię! I to latami!

– Wcale tego nie robię – zauważyłam i łypnęłam gniewnie na brata.

– Owszem! Bo jesteś zdecydowanie zbyt wierna i ciągle szukasz wymówek, żeby usprawiedliwić to, co ci zrobił.

– Nieprawda! – warknęłam do brata, a tymczasem serce ścisnęło mi się boleśnie. Do diabła, oczywiście, że tak jest. I jestem na siebie o to wściekła w każdej chwili, każdego dnia, bo ciągle tęsknię za tym dupkiem.

MJ dramatycznie rozłożył ręce.

– Leaf, on ma kolekcję poszetek. Z wyhaftowanym monogramem. Lata temu powinnaś była go spławić. Choćby z tego powodu!

– No dobra, te poszetki to rzeczywiście przesada – przyznałam i absurdalność tego faktu sprawiła, że się roześmiałam, co zdecydowanie obniżyło ciśnienie pod moimi powiekami. – Ale w związku nie o to chodzi.

– Nie?

– No nie.

– Może zatem o skarpetki, posortowane kolorami, żeby pasowały do krawatów?

– Nie, chodzi o to, żeby mieć partnera, przy którym się dobrze czujesz, do którego wracasz po ciężkim dniu i zapominasz o wszystkich problemach. Który wydobywa z ciebie to, co najlepsze, i nie wali poniżej pasa.

MJ posłał mi zadziwiająco dorosłe spojrzenie, zjadając jednocześnie ostatnią jagodę.

– Byłoby nieźle, gdybyś czasami sama słuchała własnych rad.

No proszę, wrócił.

Pan Gula.

– Może i tak – przyznałam z westchnieniem.

– Leaf, od waszego rozstania funkcjonujesz jak robot, chodzisz tylko na uczelnię albo bierzesz podwójne zmiany. Martwię się o ciebie. Wszyscy się o ciebie martwimy.

– MJ. – Spojrzałam na niego z czułością i smutkiem zarazem. – Dlatego ciągle tu siedzisz? Bo się o mnie martwisz? Niepotrzebnie. Stanę na nogi, po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu.

MJ zacisnął zęby i gniewnie odwrócił wzrok.

– Tylko się nie rozklejaj. Jestem tu ze względu na Missy, nie na ciebie. Głupi, mały, zły kłamca.

Pokazałam mu język. W odpowiedzi kopnął mnie w pizszel.

Uśmiechnęłam się, bo choć sama myśl o Benie ciągle sprawiała mi cholerny ból, mogło być gorzej.

– Super, w takim razie dalej śliń się do Missy. Ja muszę wracać do pracy, a później wychodzę z dziewczynami.

– W taką pogodę?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie tylko tobie moje złamane serce działa na nerwy. Tavia i Priscilla zagroziły, że w najgorszym wypadku zaciągną mnie na parkiet w pizamie. A ja im wierzę. Daj znać, kiedy będziesz chciał jechać do domu. Może uda się nam złapać taksówkę, która zdoła przedrzeć się przez wodę.

Na zewnątrz znowu zagrzmiało i światło nad naszymi głowami zamigotało kilkukrotnie.

MJ otworzył usta i znieruchomiał z marsową miną. Wpatrywał się w punkt za moimi plecami. Z jego twarzy błyskawicznie zniknął nawet cień uśmiechu.

– Co to za typ? – zwrócił się do mnie.

– Jaki znowu typ? – Zmarszczyłam czoło, odwróciłam się, podążyłam za jego spojrzeniem.

Missy stała przy kontuarze i uśmiechała się do kogoś, kto zajął miejsce na najdalszym barowym stołku. Dokładnie obok pojemnika z pistacjami. Żarówka była tam uszkodzona, więc w tym kącie knajpy panował półmrok. A jednak rozpoznałam go, bo od mniej więcej tygodnia zjawiał się tu dzień w dzień o tej samej porze. W myślach nazywałam go po prostu Typem Missy. Zawsze siadał na tym samym barowym stołku. Szczupły, miał szerokie barki i ciemnoblonde włosy, które teraz, wilgotne, kręciły się na karku. Nie wiem, co powiedział, ale Missy rozchichotana pochyliła się ku niemu. Wyciągnął rękę i owinał sobie jej długi kosmyk wokół palca.

Przyglądałam mu się zdumiona.

– A ten skąd się tu wziął?

MJ przywarł wzrokiem do roześmianej twarzy Missy. Wyglądała, jakby najchętniej usiadła typowi na kolanach.

– Proszę pani? Czy może pani pogłośnić telewizor? Podają najnowsze wiadomości, chciałbym je usłyszeć – zawołał do mnie jeden z gości.

Dwie sekundy trwało, zanim do mnie dotarło, że Missy puszcza jego słowa mimo uszu i muszę interweniować.

– Oczywiście.

Z westchnieniem dźwignęłam się na bolące nogi i podeszłam do kon-
tuaru. Mecz został przerwany przez specjalne wydanie wiadomości. Re-
porterka ze zdecydowanie zbyt mocnym makijażem z powagą patrzyła
w kamerę. Za jej plecami dostrzegłam budynek Chryslera.

– ...zwłoki. Potwierdzono już, że ofiara to dziesięcioletni Murphy
Rogers. Chłopiec zaginął dwa tygodnie temu, zniknął bez śladu z pla-
cu zabaw i od tego czasu bezustannie poszukiwali go najbliżsi i policja.
Znany już wyniki sekcji zwłok. Wygląda na to, że obrażenia, które od-
niósł, przypominają te, które stwierdzono u dwóch innych ofiar...

Nawet jeżeli istniał pilot do starego telewizora, ja nie widziałam go
na oczy ani razu podczas sześciu lat, które spędziłam, pracując w Cox's
Diner. A zatem musiałam wspiąć się na palce i podskoczyć, by sięgnąć
pokrętła głośności.

– Pomóc ci? – zapytał ktoś tuż za mną. Tak blisko, że poczułam na
uchu ciepły oddech.

Ktoś się poruszył, błąd palec uniósł się nade mną i podkreślił gło-
sność. Okryłam się gęsią skórą na plecach. Przeżrana, odwróciłam
się gwałtownie i przy tym strąciłam z konturu pełny kubek kawy. Roz-
legł się głośny brzęk, gdy skorupy rozprysły się na wszystkie strony wraz
z gorącą kawą, która natychmiast wnikała w fugi między kafelkami po-
sadzki.

– Cholera!

Wściekła, schyliłam się, by pozbiierać odłamki, i wtedy padł na mnie cień. Niekształtny, zbyt ciemny z niewiadomego powodu. Podniosłam głowę i znieruchomiałam. Nad kontuarem pochylał się Typ Missy. Przenikliwie niebieskie oczy patrzyły na mnie spod krótkich ciemnych rzęs. Ciemnoblond włosy opadały mu na twarz, wąską i kanciastą. Miał dołeczek w brodzie. No tak, i te oczy. Od razu zrozumiałam, co Missy w nim widziała. Wyglądał, jakby wyszedł prosto z billboardu reklamowego. Gdybym w ciągu minionych tygodni nie mierzyła się ze złamanym sercem, pewnie to ja, a nie Missy, kręciłabym się wokół niego, ale po raz pierwszy, odkąd zaczął tu przychodzić, naprawdę zaparło mi dech w piersiach. Serce waliło mi jak oszalałe.

Uśmiechnął się złośliwie, jakby to zauważył, i jednocześnie lekko przechylił głowę, tak że ścięgną na jego szyi zarysowały się eleganckim łukiem. Niełatwo było oszacować jego wiek – mógł mieć dwadzieścia parę i równie dobrze trzydzieści parę lat, a wynikało to przede wszystkim z wyrazu oczu, które wydawały się o wiele starsze niż cała reszta. Na lewym policzku miał ciemne znamię. Pieprzyk, który wyglądał niemal artystycznie, jakby malarz uznał, że jego dzieło jest zbyt idealne i chciał je odrobinę zeszpecić.

– Wszystko w porządku? – zapytał miękkim głębokim głosem. Włoski na karku stanęły mi dęba.

Chcąc skoncentrować się na czymś innym niż ta irytująco idealna twarz, zajęłam się zbieraniem skorup.

– Oczywiście. To nie pierwszy i zapewne nie ostatni kubek.

Demonstracyjnie wyrzuciłam odłamki do niewielkiego kosza na śmieci pod kontuarem i wyprostowałam się.

– Missy, czy mogłabyś... – zaczęłam, ona jednak już wkładała skórzaną kurtkę.

– Kończę na dzisiaj. Widzimy się jutro.

Oczywiście. Nastolatki.

Gwałtownie nabrałam tchu i podniosłam wzrok.

– Kończymy zmianę dopiero za trzy godziny – przypomniałam jej, na co odpowiedziała wzruszeniem ramion.

– Nie czuję się najlepiej.

– Czyżby? – Łypnęłam na typa, który opierał się o kontuar, podczas gdy nad naszymi głowami ciągle nadawano wiadomości.

– Policja twierdzi, że wpadła na trop nowego seryjnego zabójcy. Choć na razie trudno mówić o konkretnym motywie czy profilu. Funkcjonariusze proszą o wskazówki, które mogłyby doprowadzić do ujęcia sprawcy. A teraz przechodzimy do wiadomości sportowych...

Przesunęłam wzrok na Missy, która wyszła zza lady i uśmiechała się do blond adonisa.

– Możemy iść.

– Jak właściwie nazywa się twój przyjaciel, Missy? Nie przedstawisz nas? – zapytałam.

Dziewczyna posłała mi zabójcze spojrzenie.

– Spadaj, Leaf.

– Bardzo oryginalne imię – odparłam złośliwie.

Missy przewróciła oczami i uwiesiła się na ramieniu przystojniaka.

– Chodźmy już, bo...

– Henry? Henry Lancaster? – rozległ się nagle wysoki głos. Marudna kobieta, która odzywała się wcześniej, stała z serwetką w dłoni i wpatrywała się w towarzysza Missy.

Ten tylko uniósł brew.

– Przepraszam bardzo, czy my się znamy?

Zaskoczona kobieta wybałuszyła oczy.

– Czy my się znamy? Przecież właśnie wybieramy się na twój pogrzeb! Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo martwią się o ciebie rodzice?

W knajpie zapadła nieprzyjemna cisza. Spojrzenia wszystkich skierowały się na Missy i jej typa.

Facet się wahał. Widziałam to w drganiu mięśni na jego policzku, w tym, jak jego oczy jeszcze bardziej pociemniały, tak że teraz wydawał

się wściekły, a może po prostu zirytowany. To wszystko trwało tylko ułamek sekundy, bo zaraz przywołał na usta czarujący uśmiech.

– Bardzo mi przykro, musiała mnie pani z kimś pomylić – odparł.

– No, chodźmy już – wtrąciła Missy. Błądziła wzrokiem między Henrym i kobietą. Znowu pociągnęła go za ramię, ale blondyna ciągle blokowała im drogę. Missy zacisnęła zęby i w przeciwieństwie do swojego towarzysza nawet nie starała się ukryć irytacji.

– Co to ma być, Henry? Jakiś kiepski żart? Przecież razem studiowaliśmy! Byłeś świadkiem na moim ślubie! – Kobieta przysunęła się bliżej, spojrzała mu w oczy. – Wiesz, co o tobie gadają? Nawet w prasie pisano o zarzutach korupcyjnych i praniu brudnych pieniędzy. Uznano cię za zaginionego!

Co, do cholery?

Odruchowo uniosłam brwi, Missy tymczasem ze zdumieniem przyglądała się Henry’emu-nie-Henry’emu.

– Co ona opowiada?

Blondyna zmierzyła Missy pogardliwym wzrokiem.

– Tylko mi nie mów, że ukrywasz się, żeby być z tą cizią?

– Cizią? – syknęła Missy, ale Henry ją powstrzymał.

– Spokojnie, skarbie. Nie chcemy żadnej awantury. To najzwyklejsze w świecie nieporozumienie. Takie rzeczy się zdarzają. Po prostu mam bardzo przeciętną twarz – wyjaśnił nonszalancko.

No nie, litości. Jeżeli ktoś nie ma przeciętnej twarzy, to właśnie on.

– Bardzo proszę, żeby państwo nie prowadzili tej dyskusji w restauracji. Missy, może powinnam zadzwonić do twojej mamy i...

– Spadaj, Leaf, to naprawdę nie jest twoja sprawa – warknęła do mnie. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, w tym momencie padłabym trupem.

Cox wyrzwał z kuchni. Gniewnie wymachiwał szpatułką do smażenia.

– Co tu się dzieje?

– Absolutnie nic – zapewnił Henry łagodnym, ale stanowczym głosem i strzepnął nieistniejący pyłek z poły długiego, ciemnego płaszcza.

– Właśnie wychodzimy – dodał. Kiedy się uśmiechnął, dostrzegłam dołeczki w jego policzkach.

– Nie możesz tak po prostu... – zaczęła kobieta.

– Szanowna pani – przerwał jej, ciągle jeszcze uprzejmie, ale ze zdecydowaniem w głosie, które przenikało każdego na wylot. Kiedy zwinnie pochylił się do przodu, kosmyk opadł mu na czoło. Nie wiem, co szeptał kobiecie do ucha. Pozostali chyba w ogóle tego nie zauważyli, jednak ja, stojąc za ladą, dokładnie widziałam jej twarz i dostrzegłam zmianę jej wyrazu. Wściekłość i niedowierzanie ustąpiły niespokojnemu spojrzeniu. Pobladła, jej oczy rozszerzyły się ledwie zauważalnie, Henry tymczasem cofnął się i uśmiechnął krzywo. Co, do licha? Czyżby jej groził? Rozejrzałam się niespokojnie, ale uwagę większości ponownie przykuło jedzenie. Cox głośno walił garnkami w kuchni.

– Proszę pani, czy potrzebuje pani pomocy? Czy mogę coś zrobić? – zapytałam. Po omacku szukałam komórki na kontuarze. Nie po raz pierwszy w restauracji dochodziło do niepokojących wydarzeń. W końcu to Manhattan, tutaj zawsze coś się dzieje, ale teraz było inaczej. Włosy na karku stawały mi dęba, a ja nie miałam pojęcia dlaczego.

Henry odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Nie ma powodu do niepokoju. To tylko nieporozumienie, prawda? – zapytał tak głośno, że tym razem i ja go słyszałam.

Kobieta zamrugwała.

– Oczywiście... Oczywiście. To tylko nieporozumienie – wykrztusiła i posłała mi krzywy uśmiech. – My... Chcielibyśmy zapłacić.

– Jest pani pewna? – zaczęłam, ona jednak już odwróciła się na pięcie i wróciła do swojego stolika.

Powędrowałam wzrokiem do potencjalnego Henry'ego i Missy, która szeptała mu coś wściekle do ucha.

– Co to niby miało być? – zapytała. Napięcie zniknęło z pomieszczenia tak nagle, jakby go w ogóle wcześniej nie było.

– Też chciałabym wiedzieć – dodałam.

Henry mrugnął do mnie. Nie sprawiał wrażenia, jakby ta scena go w jakikolwiek sposób poruszyła.

– Przepraszam za zamieszanie. Odprowadzę Missy do domu. Może... Jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Uśmiechnął się. Jego spojrzenie było niemal zbyt świdrujące, by sprawić autentyczną przyjemność, ale jednocześnie nie mogłam oderwać od niego wzroku. Jego tęczęwki, intensywnie niebieskie i czyste. Nie jak morze, na to jego spojrzenie było zbyt spokojne, ale też nie jak bezchmurne niebo, na to było zbyt wzburzone.

Dzwonek oznajmił przybycie kolejnych gości i tym samym wyrwał mnie z zadumy. Zakłopotana zamrugałam, a Henry posłał mi złośliwy uśmiešek. Nie pozwoliłam sobie, by się spieszyć, za to wyzywająco uniosłam brew.

– Jeżeli niczego nie zamawiacie, proszę, żebyście już poszli – powiedziałam tylko najchłodniej, jak umiałam.

Henry skinął głową. Gdy we dwójkę wychodzili z knajpy, gwałtowny powiew wiatru zabawił się moimi włosami. Nowi goście usiedli w rogu, zasłaniając mi widok Missy, która u boku Henry'ego zniknęła w ciemności.

Ze zmarszczonym czołem rozcierałam przedramiona, a potem uklęknęłam, by wytrzeć rozlaną kawę. Cox koniecznie musi naprawić ogrzewanie. Cholernie tu zimno.